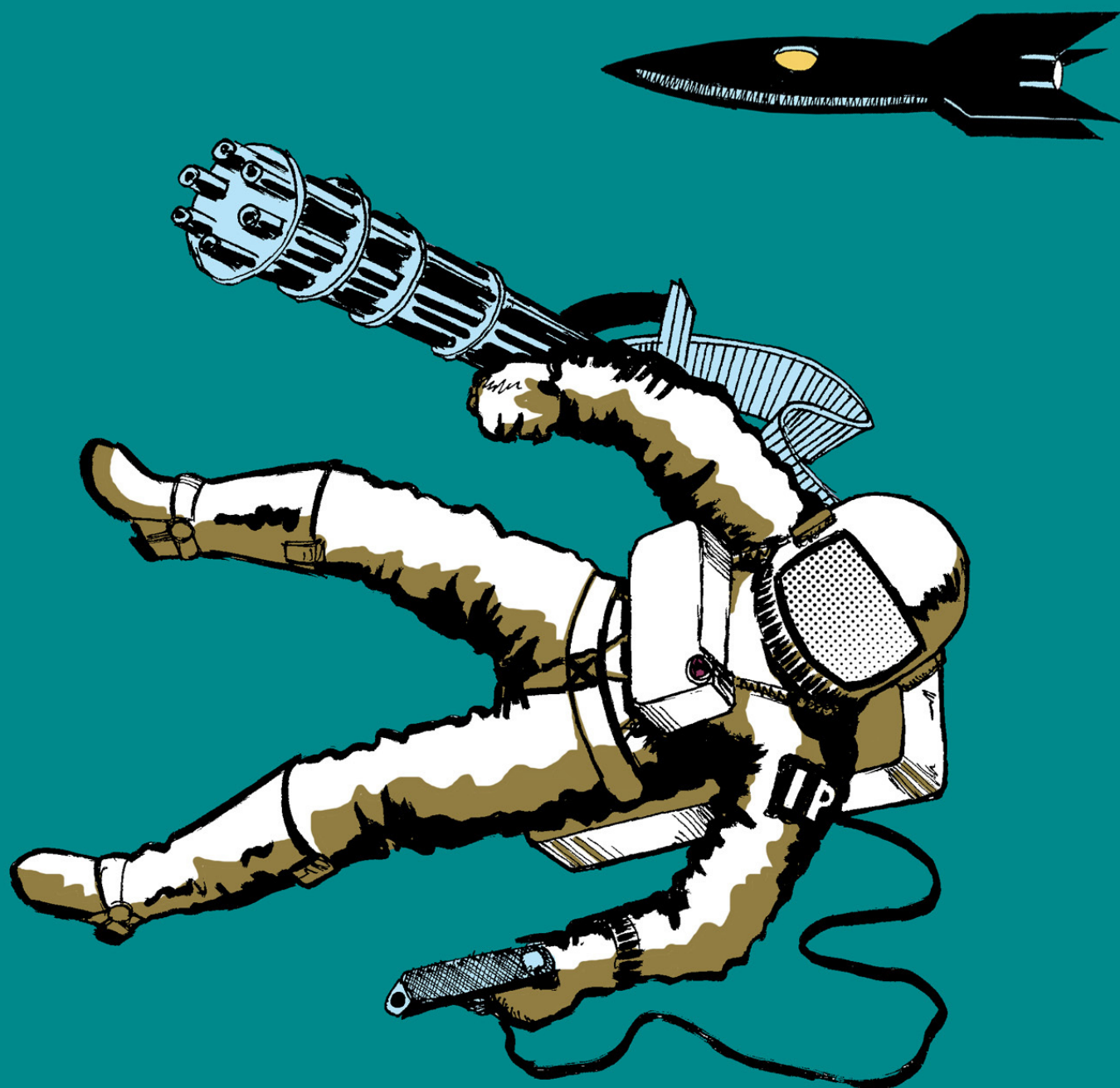


Bohdan

PETECKI



STREFY
ZEROWE

Bohdan Petecki

STREFY ZEROWE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-84-7

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1983

Projekt okładki: Bartek Biedrzycki

Spis rozdziałów

1. W kręgu psychotronu
2. Budorus
3. W przestrzeni
4. „Helios”
5. Facet z Korpusu
6. Łąd
7. Dwie projekcje
8. Strefa zerowa
9. „Proxima”
10. Anatomia człowieka

1. W kręgu psychotronu

Biały żetonik drgnął mi nagle w dłoni. Omal go nie upuściłem. Rozwarłem palce i przyjrzałem mu się. Za matową osłonką pulsowało mleczne światełko. W sekundowym rytmie, jakby zachęcając do pośpiechu. Płaski, biały trójkącik. Tak płaski, że należało go trzymać opuszkami palców. Pojęcia nie miałem, jakim cudem zdołano wewnątrz tego maleństwa coś jeszcze umieścić. Coś, co świeciło i wprawiało żetonik w rytmiczne drgania. Zabaweczka. Do niedawna dawali uczciwe, plastikowe bilety. Te trójkąciki musieli wykombinować w ostatnim przypływie natchnienia, kiedy skończyła się rywalizacja planetarnych biur podróży. Nie dlatego, żeby któreś z tych biur, dzięki technikom reklamy i ich sztuczkom, jak ta z żetonikami, zepchnęło na ślepy tor całą konkurencję. Po prostu ludzie przyzwyczaili się żyć spokojnie. Kto nie musiał, nie opuszczał Ziemi. Setkom luksusowych dworców pasażerskich pozostały na pociechę wycieczki szkolne, załogi baz planetarnych czy też satelitarnych, ekipy specjalistów i tacy jak ja. Nie należący do żadnego ze światów. Ale dla takich jak ja nie wymyślaliby białych żetoników, drgających i migających mlecznym światłem na znak, że czas już udać się na pole startowe.

Wstałem z ogromnego, pomarańczowego fotela, który natychmiast wypełnił się powietrzem, przybrał kształt kuli i potoczył w róg hali jak lekka, plażowa piłka. Trzy miękkie, bezszelestne eskalatory biegły w stronę tunelu. Każdy z nich był pomalowany na inny kolor. Wybrałem biały. Chociaż słowo „wybrałem” brzmi tu naiwnie. Osobista aparatura korekcyjna mogła sama porównać moje skojarzenia wzrokowe z barwą żetonika. W odróżnieniu od innych ludzi zdarzało się nam nie wiedzieć, czy robimy coś w wyniku własnych przemyśleń, czy też akurat działamy pod dyktando tej modulowanej diody laserowej wielkości staroświeckiej zapałki, jaką każdy z nas nosił w kołnierzu skafandra. Nazywaliśmy tę aparaturę „butlerem”. Działała niezawodnie i dyskretnie. W gruncie rzeczy często zapominaliśmy o jej istnieniu.

Eskalator wpłynął do kishkowatej pochylni wypełnionej matowym światłem. Wszystko tu było idealnie gładkie i bez wyrazu. Jak plecy niemowlęcia. Gdyby na tym dworcu wylądowali kiedyś przybysze z przestrzeni, otrzymaliby od razu syntetyczny obraz naszej cywilizacji. Łagodnej i bezkontrastowej. Przynajmniej na oko.

Musiałem się uśmiechnąć do tej myśli. Hiss miał rację. Nie wszystko było ze mną w porządku. Stale przychodzi mi do głowy coś spoza programu. I to bez sprzeciwu ze strony automatów korekcyjnych. A nawet komputera kadrowego w centrali. Jakby selektory informacji obiegających sprzężone ogniwa naszych pól mózgowych i psychotronu nagle wyłączały jedną lub kilka sekcji.

To oczywiście niemożliwe. Komputer był niezawodny. A gdyby w jego superprecyzyjnej sieci powstały jakieś luki, Hiss nie byłby w stanie nic wywęszyć. Po prostu mieściłem się w granicach tolerancji.

Nie ma doskonałej stymulacji nawet w stosunku do automatów, pozbawionych śladu białka. Ostatecznie mogli i nam zostawić margines. Zresztą pal ich sześć. Cóż stąd, jeśli swoją względną swobodę zawdzięczam jedynie defektowi programu? Kosztował mnie trzy tygodnie pracy. Ale nie usunięcie defektu. Wprowadzenie.

Co tu zresztą mówić: defekt. Musiałem podmienić osobistą aparaturę. Na cały czas przeprowadzanej operacji. Musiałem obliczyć zależności. A wszystko po to, żeby zapamiętać miłość do dziewczyny, która kochała już innego.

Miłość. Jak to inaczej nazwać? Nawet jeśli kształtowała się jako proces... bo ja wiem, jak go nazwać? Chyba poznawczy. Bez wszystkiego, co ludziki nazywają wzruszeniem. I co

bywa pobudką ich działania. Na to nikt by mi nie pozwolił. A najmniej ja sam. Ostatecznie byłem członkiem Korpusu Informacyjnego.

Byłem nim naprawdę. Czułem tę więc każdym ułamkiem upływających sekund, w jakich mój mózg przetwarzał, a w każdym razie mógł przetwarzać, dwukrotnie więcej informacji niż bywało to udziałem najtęższych umysłów nie sprzężonych z psychotronem naszej centrali. Słowem, wszystkich mieszkańców Ziemi, poza tym tysiącem istot figurujących w rejestrze inforpolu. Tak nazywano Korpus przez skojarzenie, nie wiem, czy najszcześniejsze, z jakąś organizacją czy instytucją porządkową, rozwiązaną sto lat temu. Mniejsza z tym. Itia wiedziała, o co chodzi, ale Itia jest historykiem. Tak czy inaczej każda myśl, każde drgnienie mięśnia mówiły mi, kim jestem. Czułem wyważoną, sprzężystą siłę własnego ciała, z którego przez lata ćwiczeń zrobiono idealny instrument i niemal idealną broń.

Aparatura psychotronu mieściła się w głównym gmachu centrali, na szczycie łagodnego wzgórza, noszącego nazwę „Dzwonnica”. Może stał tam kiedyś kościół. Albo jakaś strażnica. W każdym razie nazwa wzgórza kojarzyła mi się zawsze z letnim, niedzielnym przedpołudniem i przeciągłym dźwiękiem dzwonów, niosącym się nad bezludnymi wrzosowiskami. Co najsmieszniejsze, zasięg aparatury zamykał się w kole o promieniu trzydziestu kilometrów. Niewiele dalej niż przy łagodnym, sprzyjającym wietrze docierać mogły płynące z tego wzgórza dźwięki dzwonów. Jeśli rzeczywiście stała tam kiedyś dzwonnica.

Poza kręgiem psychotronu pozostawały jeszcze sprzężenia z osobistą korekturą homeostazy oraz z zespołami diagnostycznymi. Zapewniały nam one w każdej sytuacji autonomię układu nerwowego i informowały o wszystkich procesach zachodzących w organizmie, czy człowiek był ich akurat ciekaw, czy nie.

Eskałator wbiegł do podziemnej pustej hali, przypominającej kształtem ogromną beczkę. W kolistej ścianie świeciły kabiny wind. Zstąpiłem na miękką posadzkę i nie słysząc własnych kroków przeszedłem do szybu. Tuż za mną podążało dwóch facetów, podobnych do kuchcików w swoich cienkich, przezroczystych skafandrach. Piloci. Na głowach mieli tylko siatki antenowe, jakby utkane z pajęczyny. Wszedłem do kabiny, odwróciłem się i oparłem plecami o świecąca ściankę. Teraz dopiero spostrzegli, z kim mają do czynienia. Myślałem, że nogi pogubią, tak szybko przenieśli się do sąsiedniej windy. Ale dawno już minął czas, kiedy podobne reakcje ludzików bawiły mnie czy nawet sprawiały przykrość.

Chodnik dojazdowy, na powierzchni, był w ruchu. Znowu miałem ich przed sobą. W pewnej chwili jeden z nich, niższy, odwrócił się i musnął wzrokiem mój emblemat na lewym ramieniu. Twarz mu pociemniała, wspiął się na palce i powiedział coś drugiemu do ucha. Zaraz potem obaj postąpili kilka kroków do przodu, pomimo że chodnik posuwał się całkiem szpalko. Piloci. Nawet oni.

Chodnik kończył bieg kilkanaście metrów przed stanowiskiem startowym promu orbitalnego. Przy wejściu na trap stał dryblas niewiele niższy ode mnie, w eleganckiej czapce i srebrnym skafandrze. Wyglądał jak karykatura króla ryb ze starych książek dla dzieci. Podałem mu żetonik. Wziął go ostrożnie, jakby się bał skaleczyć, obejrzał nieufnie i spojrzał na mnie z wyrazem szczerzego osłupienia.

– Bilet? – bąknął.

– Na to wygląda – powiedziałem cicho, patrząc prosto przed siebie. – Coś się nie zgadza?

Zreflektował się natychmiast.

– Oczywiście... – wymamrotał – wszystko w porządku. Mógł pan jechać bezpośrednio, prosto na płytę – mówił szybko, więcej niż uprzejmym tonem. Była to uprzejmość, jaką okazuje się nie lubianemu profesorowi, który ma nas egzaminować.

Nie odezwałem się. Boy. Także relikwiry turystyki.

Oczywiście, że mogłem jechać prosto na płytę. Mogłem wylądować pociskiem załogowym koło trupu i wsiąść do promu bez jednego słówka. Mogłem na dobrą sprawę wszystko. Jak każdy z nas. Było nas tylko tysiąc na te paręnaście miliardów ludzi. A to, czego nie mogłem i tak nie przyszłoby mi nigdy do głowy. I co z tego? Tym bardziej wolno mi chyba przyjść jak każdemu innemu, kupić bilet i zafundować sobie całą tę ceremonialną procesję. I żadna ryba z błazeńską czapką nie powinna się tym interesować.

Prom był starym pudłem. Jego chemiczne silniki pracowały tak głośno, że w kabinie zaległa nagle głucha cisza, cisza, jaka w ogóle nie zdarza się w naturze. Ilość decybeli przekroczyła widać wartość krytyczną, co automatycznie unieruchomiło fonty. Każdy z nas nosił te głośniczki wszyte w skórę, za uchem. Kiedy natężenie dźwięków dochodzących z zewnątrz przekraczało dopuszczalną barierę, fonty zaczynały emitować fale zsynchronizowane z falami hałasu. Bez względu na jego źródło.

Nic dziwnego. Najzwyklejsza w świecie interferencja. Ale faktem jest, że te lilipucie odbiorniki i nadajniki równocześnie, odegrały doniosłą rolę w dziele przezwyciężania ubiegłowiecznego kryzysu cywilizacyjnego. Obliczono, że połowa masowych samobójstw, plagi dwudziestego pierwszego wieku, była popełniana przez ludzi dotkniętych psychozą, której źródeł doszukano się we wszechobecnym hałasie. Tylko, jak to zwykle bywa z uzdrowiaczami, popadli oni ze skrajności w skrajność. W każdym kiosku można było kupić aparacik, który tłumiał wszystkie, nawet najcichsze dźwięki, odbierane przez ludzkie uszy. W efekcie powstały nowe psychozy, równie groźne. Ludzie stawali się apatyczni, wpadali w melancholię, dostawali obłądu. Wreszcie skonstruowano fonty, na zasadzie złotego środka. Każdej żywej istocie potrzebne jest tło akustyczne.

Dlatego z ulgą powitałem moment, kiedy na ekranie pojawiła się pierwsza radiolatarnia stacji satelitarnej. Dwie minuty później prom zastopował. Konstrukcja stacji przestała się powiększać. Kłapa wjazdu transportowego opadła na pomost. Spod niego, jak wyrosłe z przestrzeni, wyłoniły się wysmukłe stalowe palce, zakończone spiralami magnesów. Ostatnie piętnaście metrów drogi. Jej pierwszego etapu. Wjazd zamknął się za nami.

Odczekałem chwilę i kiedy ostatni z nielicznych pasażerów opuścił kabinę promu, wyszedłem na peron. Stąd przez otwartą na oścież komorę śluzy widać było czarną walcową halę poczekalni. Jej strop, pomalowany w czarno-błękitne pasy, kłuł oczy tysiącami kolorowych światełek. Miało to zapewne naśladować nieboskłon. Ale nie było takiego miejsca we wszechświecie, skąd nieboskłon przedstawiałby się równie przeraźliwie. Ktoś, kto to wymyślił, oczywiście z nadzieją dogodzenia turystom, z pewnością dał dyla natychmiast po zakończeniu dzieła, w obawie przed zemstą załogi stacji, która musiała tutaj pracować.

Wzruszyłem ramionami, przekroczyłem wysoki próg śluzy i wszedłem do środka.

Zatrzymałem się pod plastikową palmą, blisko wyjścia na przeciwległy peron. Jedno, co tu było miłe, jak zresztą we wszystkich obiektach orbitalnych i w ogóle pozaziemskich, to atmosfera. Czterdzieści procent tlenu i sześćdziesiąt helu. Trudno pojąć, jak udało się naszej staruszce urodzić organizmy wyższego rzędu, z tą jej odrobiną tlenu oraz azotem źle przewodzącym ciepło i nadającym się do wszystkiego, tylko nie do oddychania.

W rogu hali stał wysoki bufet, wybrzuszący się ku pasażerom wdzięczną sinusoidą.

– Szesnastka – miauknęło mi za uchem.

Butler. Całą drogę milczał. Teraz odkrył, że w moim organizmie dopalają się jakieś składniki.

Podszedłem do automatu za kontuarem i wybrałem klawisz oznaczony liczbą szesnaście. Nic. Przycisnąłem ponownie. Z tym samym skutkiem. Po dobrych kilku sekundach w ścianie opadła miniaturowa kłapka, za którą ukazała się część twarzy faceta z obsługi. Ujrzawszy mnie przestraszył się. Ale musiał powiedzieć swoje.

– Bardzo przepraszamy – wymamrotał. Zabrzmiało to, jakby mówił z wnętrza wielkiego bębna. – Wymieniam właśnie cewkę pod szesnastką. Jeszcze dwie minuty. Niech pan będzie uprzejmy poczekać albo wybrać inny zestaw...

– Szóstka – szczechnął głośniczek.

Przycisnąłem klawisz i dostałem miseczkę ostro przyprawionej papki. Nie spojrzałem już w stronę wciąż jeszcze otwartego, śmiesznego otworu i uwięzionej w nim twarzy. Przeszedłem przez halę i zatrzymałem się pod sporym, owalnym iluminatorem.

Ziemia zawsze wygląda pięknie. Z daleka. Jest kolorowa, pogodna, przyprószona obłokami jak choinka. Nad moim kontynentem chmury układały się w nitkowate pasma, rozciągnięte wzdłuż południków. Musieli zamówić u meteorologów cień, a może i deszcz. Ciekaw byłem, czy i tym razem pada wszędzie, poza obszarem skąd przyszło zamówienie.

– Przepraszamy pasażerów udających się na Lunę – zaśpiewały nagle głośniki. – Start opóźni się o kilkanaście minut. Centrum radiolokacyjne na Cererze przechodzi dziś okresową konserwację. Przepraszamy.

Trzeba mieć szczęście. Gdyby to się zdarzyło w okresie turystyki – przemknęło mi przez myśl – poradziliby sobie bez tego centrum. Każda stacja miała własne latarnie radionawigacyjne, wzdłuż zastrzeżonych dla niej torów. Ale teraz, kiedy wszystkie biura podróży przejęła jedna agencja komunikacyjna, nikomu nie zależało tak bardzo na pasażerach. Niech czekają.

Czekali. Nie zauważyłem, żeby ktoś pozwolił sobie na jedno złośliwe słówko lub na gest świadczący o zniecierpliwieniu. Poza Ziemią człowiek odkrywa nagle, że kilka minut nic nie znaczy. Co do mnie, nie musiałem niczego odkrywać. Ja nie mogłem się zniecierpliwic. Automatyczna korektura. Niezła rzecz, daję słowo. Jak ostatni model sztucznej ręki.

Wybrałem fotel wciśnięty w najodleglejszy kąt sali. Jakaś para, siedząca najbliżej, podniosła się natychmiast i oddaliła w źle maskowanym popłochu. Odprowadziłem ich spojrzeniem. Nie lubili nas. Nikt nas nie lubił. Nie pasowaliśmy do naszej ślicznej, zaokrąglonej cywilizacji. Lubili oglądać stare zbroje w muzeach. Ale współczesne im istoty, od dziecka, ba, od pierwszej komórki w łonie matki przeznaczone do walki? Tego nie mogli strawić w swoim ulizanym humanitaryzmie.

Zresztą nie moja sprawa. To ładnie brzmi. Moja sprawa... Czy w ogóle były jakieś sprawy, które mógłbym nazwać moimi? Poza czekającym mnie zadaniem, o którym nic jeszcze nie wiedziałem?

Wczoraj w południe polecono mi zwinąć moją kwaterę w klubie i zameldować się w bazie Korpusu na Lunie, w Budorusie. Moje osobiste rzeczy zapakowałem w torbę wielkości małej dyni i zgodnie z instrukcją złożyłem w depozycie. Kilka fotografii, dokumenty, parę mikrofilmów. Wszystko. Nie zająknęli się nawet, o co chodzi. Szef centrali, Hiss, nie patrzył mi w oczy. Oznajmił tylko, że zobaczymy się na Lunie. Powiedział to takim tonem, jakby rzecz miała mi sprawić szczególną przyjemność. Oczywiście musieli wiedzieć, że czekam na coś więcej. Byłem już raz w akcji. Drobiazg. Facet z rozdzielni automatycznej przetwórci paliwa na Ginamedzie zwariował po roku samotnej pracy i chciał wywalić w kierunku Cerery cały nagromadzony zapas deuteru. No tak. Ale z tego tysiąca, do którego należałem, tylko kilku ludzi było w prawdziwej akcji. Interwencje Korpusu zdarzały się raz na kilka lat. Ogromna większość moich kompanów spędzała całe życie w klubach i na poligonach. Było co najmniej dziwne, że wysyłają mnie na akcję po raz drugi. Nie słyszałem, żeby zdarzyło się to komukolwiek przede mną. Ale to w końcu także ich sprawa. Nie moja. Ja miałem tylko wykonać zadanie. Tak właśnie powiedziałem wczoraj Itii.

Wstałem i wróciłem pod iluminator. Obłoki trwały dalej nieporuszone, dzieląc kontynent, który opuściłem, na cienkie plastry. Próbowałem odszukać miejsce, gdzie powinno się znajdować moje miasto. Gdzie była Itia.

Spojrzałem na tarczę. Tam minęła już trzecia. Kilka minut temu Itia wróciła z centrali. Wczoraj o tej porze wysiadłem z żyrobusu pod jej domem. To był bardzo miły domek, na trzecim poziomie czterdziestej siódmej ulicy. Prawdziwe gniazdko. Tylko siedział już w nim ktoś inny.

Nie była zdziwiona, kiedy zobaczyła mnie przed drzwiami. Uśmiechnęła się nawet. Miała na sobie komplecik z różowego chromopianu, najcieńszy, jaki widziałem w życiu. Na jej śniadej skórze ta migocząca mgiełka wyglądała jak opakowanie zrobione z myślą, aby towar w środku był dobrze widoczny.

– Wyjeżdżam – powiedziałem.

Skinęła głową. Powiedzieli jej. Chodziło widać o coś, co uznali za godne uwiecznienia w kronice inforpolu. To znaczy w zespołach pamięciowych aparatury zainstalowanej w jednym z pawilonów centrali, należącym do Itii i jej dwóch czy trzech współpracowników.

Wszedłem do pokoju. Wskazała mi fotel i usiadła naprzeciw mnie. Natychmiast podjechał do nas barek, pobrzękując apetycznie szklaneczkami.

– Baza w Budorusie – mruknąłem. – Jutro rano.

– Coś poważnego?

Pytanie raczej retoryczne.

– Myślałem, że wiesz – powiedziałem. – Ja dowiem się na miejscu. Hiss będzie tam jutro.

Potrząsnęła głową.

– Kazali mi tylko zanotować twój wyjazd i założyć specjalny tor w komputerze. Ale bez sprzężenia. Zdaje się, że polecisz gdzieś dalej.

– Mniejsza z tym – powiedziałem. Pociągnąłem łyk musującego płynu. Miał cierpki, słoneczny smak nie całkiem dojrzałych owoców. – Nowy przepis? – spytałem.

– Stary jak świat. Piłam to jako dziecko – zaśmiała się. Ale zaraz spoważniała.

Odstawiłem szklaneczkę i rozejrzałem się po pokoju.

– Wszystko po staremu. Jakbym wyskoczył na chwilę poplotkować z kumplami – stwierdziłem. – Pełnia stabilizacji. Pomyśleć, że to już osiem... nie, blisko dziewięć lat. Co w ogóle u ciebie?

Patrzyła na mnie przez chwilę uważnie. Wreszcie uniosła brwi i uśmiechnęła się. Nie był to najweselszy uśmiech.

– Nic – powiedziała półgłosem. – Pracuję... – nie dokończyła.

– To wszystko?

Przestała się uśmiechać. Utkwiła wzrok w pustej szklaneczce.

– I... czekam – dodała wreszcie, niemal szeptem.

Musiała to powiedzieć. Żeby nie było wątpliwości.

Wyprostowałem się.

– Mówisz to na wypadek, gdybym przestał być grzeczny? – spytałem. – Nie bój się. To tylko kurtuazyjna wizyta pożegnalna. Z kimś, u licha, musiałem się pożegnać. Tak się składa, że nie mam nikogo innego.

Spojrzała na mnie szybko. Oczy jej się rozszerzyły.

– Och, Al – wyjąkała – to nie dlatego... ja... – urwała.

Czekałem dłuższą chwilę w milczeniu.

– Pamiętasz? – szepnęła wreszcie, tak że ledwo usłyszałem.

Dobre sobie. Ale trudno jej się dziwić. Sam nie wiem, jakim cudem udała mi się ta operacja z butlerem. Miłość, do tego nieszczęśliwa! Toż to szkolny przykład naruszenia autonomii systemu nerwowego. Moja wierna dioda powinna była natychmiast powiadomić

centralę. „Leczenie” miałyby przebieg łagodny i odbyłoby się bez udziału ludzi, zawsze skłonnych do niedyskrecji. Korekta. Sprzężenia. Po miesiącu wiedziałbym tylko, że jest na świecie jakaś Itia, dziewczyna należąca do jednego z nas.

A ja nie chciałem. Mniejsza, dłaczego. Sam nie wiem. Nie chciałem i już. Postanowiłem zapamiętać. Wszystko. Gorączkowo, po nocach, przerabiałem program zainstalowany w butlerze. To było fałszerstwo. W dodatku udane.

Wszystko zostało we mnie. Na dobre. Ale tylko tyle. Zachowałem pamięć o emocjach. Nie emocje. Dyskwalifikowałyby mnie one jako członka Korpusu. Moja myśl musiała płynąć przez kanały mózgu, włókna psychotronu i diody wzmacniaczy równym, chłodnym, przyspieszonym nurtem. Gdybym postradał umiejętność całkowitej koncentracji na tym, co właśnie robię, gdyby zaistniał cień obawy, że w jakiejś sytuacji zawiedzie mnie zdolność błyskawicznej oceny, trzeźwej kalkulacji i natychmiastowej, najślusniejszej z możliwych reakcji, gdyby jeden taki sygnał dotarł do centrali, na drugi dzień przenieśliby mnie do sekcji szkolenia. Ale jak jej to powiedzieć? One wszystkie boleją nieopisanie, kiedy muszą kogoś unieszczęśliwić. Dopiero, jeśli okaże się, że rzecz wygląda trochę inaczej...

Uśmiechnąłem się.

– Nie przejmuj się – powiedziałem spokojnie. – Pamięć to jeszcze nie wszystko.

Zwłaszcza pamięć cyborga.

Aż ją podniosło. Natychmiast przestała się roztkliwiać.

– Oszalałeś? – parsknęła. – Jak możesz tak mówić? Ja wiem, skąd się wzięło to słówko! Prawda. Była historykiem.

– Właśnie dlatego to słówko tutaj padło. Sama pracujesz w centrali. Znasz żargon.

Zresztą tak kiedyś nazywano facetów z Korpusu. I do dziś tak mówią... ludziki – zaśmiałem się.

Trwało chwilę, zanim się rozchmurzyła.

– Coraz lepiej. – Jej głos brzmiał już spokojnie. – To obraźliwe, wiesz?

– Jedno i drugie – potwierdziłem. – Jesteśmy kwita. A ty, jakbyś siebie zakwalifikowała?

– Jako ludzika – oświadczyła z powagą.

Skinąłem głową.

– To mi odpowiada – mruknąłem. – Chociaż jeśli się lepiej zastanowić... pracujesz z nami. Kochasz jednego z nas. Twoje laboratorium ma także te kilka biosprzężeń... można by i ciebie nazwać tak, jak tego nie lubisz.

– Nie lubię – przytaknęła. – Cyborg... sztuczny mózg, sztuczne serce, tkanki nerwowe. Tak to sobie wyobrażano. Dwieście lat temu.

Pomyślałem, że to wszystko jedno, wprawić komuś sztuczny mózg czy też z jego własnego zrobić niezawodny aparat nieustannie wspomagany i korygowany przez automaty. Ale nic już nie powiedziałem.

Ludziki? No cóż, piękne to nie było. Nawet, jeśli mówili tak sami wykładowcy, od pierwszego kursu. Bez cienia pogardy zresztą czy chociażby lekceważenia. Raczej z pewnym żalem. Wszyscy ludzie na świecie mieli swoje wzruszenia, godziny smutku, i minuty, kiedy ich serce uderzało szybkim, radosnym rytmem. Wszyscy poza tysiącem. Poza nami. A przecież to zwykli ludzie, ulegający emocjom i ceniący sobie tę swoją słabość, spomiędzy siebie wyłonili pierwsze oddziały Korpusu. Oni wymyślili program szkolenia. I to ich mieliśmy bronić. Na wypadek, gdyby ktoś lub coś zagroziło Ziemi, że w praktyce sprowadzało się to do obez władnienia raz na dwa lata jakiegoś biednego szaleńca, dysponującego aparaturą wyzwalającą energię, to już zupełnie inna sprawa. Tak naprawdę, nasze życie składało się z ćwiczeń. Bazy, poligony, wielomiesięczne patrole planetarne.

O tym wszystkim ona wiedziała.

Dłuższą chwilę milczeliśmy oboje. Należało wstać i pożegnać się, ale nie chciało mi się ruszyć z miejsca.

– Przykro mi, Al – odezwała się wreszcie – że cię rozczarowałam. Nic nie wiem o twoim wyjeździe. Gdyby Hiss mi zlecił...

– Nie zleci – przerwałem. – I nie przejmuj się. Nie po to przyszedłem.

– Wiem – rzuciła wyzywającym tonem.

Uśmiechnąłem się. Miała oczy dziecka, które nie rozumie, o czym mówią dorośli, ale wie, że wyniknie z tego coś przyjemnego.

– No to nie udawaj.

– Ty też nie.

Wzruszyłem ramionami. Następnie westchnąłem, wstałem i przeszedłem się po pokoju.

– A więc czekasz – powiedziałem bardziej do siebie niż do niej. – Rozumiem.

Rozumiem, chociaż ja...

– Nie czekałbyś?

Stałem. Spojrzałem jej prosto w oczy.

– Nie. Ja nie czekam. To pewna różnica.

Zarumieniła się. Jej wzrok powędrował szybko w stronę okna.

– Kochałam cię bardzo, Al – wyszeptała. – Nie muszę mówić. Ale...

– Nie kończ. On tam jest?

Skinęła głową.

– Cały czas w Budorusie?

– Tak. Pisze... – zawahała się.

– Kiedy wyjechał?

Spojrzała na mnie uważnie. Ale bez zdziwienia, że pytam. Raczej jakby nieufnie.

– Mniej więcej siedem lat temu... – powiedziała.

Coś mnie tknęło. Zrobiłem obojętną minę.

– Jak się z sobą kontaktujecie? Holowizją?

– Nie... pisze. Otwartym kodem.

A więc tak. Oczywiście, to mogło nic nie znaczyć. Albo i dużo...

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedziałem szybko. – Możesz to nazwać konsultacją.

– O coś, co dotyczy Ustera? – zmarszczyła brwi.

– Nie. Jeśli, to tylko o tyle, o ile dotyczy każdego z nas. Ale zależy mi nie na tym, co wiesz, tylko, co czujesz.

– Nie czuję nic takiego...

– Posłuchaj – przerwałem znowu. – Myślę o tym, co działo się sto lat temu. O nierównym podziale dóbr, o głodzie, psychozach, nieustannych konfliktach, słowem o wszystkim, co wy, historycy, nazywacie kryzysem cywilizacyjnym. Dwudziesty pierwszy wiek. Sto lat... Niby dużo. A jeśli nie dość dużo? Widzisz, żaden z nas nie może nawet w przybliżeniu przewidzieć okoliczności, w jakich przyjdzie mu wypełniać najbliższe zadanie. Dla mnie pytanie, które ci teraz stawiam, jest bardzo konkretne. Czy tamto to naprawdę już tylko przeszłość? Czy nie mogłoby ożyć w sprzyjających warunkach? Myślę o tym, co w nas siedzi. W każdym z nas – dodałem z naciskiem.

Nie odpowiedziała od razu. Przyglądała mi się podejrzliwie. Jakby się czegoś bała.

– I ty mówisz, że jesteś maszyną – odezwała się w końcu półgłosem. – Na to nikt ci nie odpowie. Może za następne sto lat. Ale – zawahała się – bądź ze mną szczerzy. Powiedziałeś to w związku z Usterem.

Robiła, co mogła, by zapanować nad głosem. Mogłem sobie pogratulować. Sam zapędziłem się w ten zaulek.

Nie myślałem o Usterze. Powiedziałem jej to, ale mi nie uwierzyła. Oczywiście, że nie. Nie mogła uwierzyć, przynajmniej teraz, tutaj. Bała się chyba, że odkryłem w sobie nagle jakąś niechęć do niego, a może i zazdrość.

Teraz dopiero stanęła mi przed oczami twarz Ustera. Oczywiście nie było mowy o jakichkolwiek nieprzyjaznych uczuciach. Nonsens. Co innego niechęć, a co innego niepokój. Czy choćby zaciekawienie.

Siedem lat. Akurat tyle, żeby... mniejsza z tym. Na razie. Dość już napędziłem jej strachu.

Wyprostowałem się.

– Tylko Uster i Uster. Jak w piosence. Muszę już iść.

Podszedłem do niej. Wstała, ociągając się i podała mi rękę. Na ułamek sekundy przytrzymała palcami moją dłoń, jakby o coś prosząc.

– Powiedzieć mu coś? – spytałem, już w otwartych drzwiach.

Potrząsnęła głową.

– Al... – urwała.

Czekałem.

– Jeśli możesz... – dobiegł mnie jej szept – bądź dalej jego przyjacielem.

Uśmiechnąłem się.

– Opowiadałaś mi kiedyś o jakimś starożytnym buntowniku czy powstańcu... dałaś mi taką książkę...

– Spartakus?

– Właśnie. Wyczytałem tam mądre zdanie. Bohater był jednym z niewolników przeznaczonych specjalnie do walki. Nie pamiętam, jak się nazywali.

– Gladiatorzy...

– Otóż to. Powiedział kiedyś do drugiego takiego jak on sam: „Gladiatorze, wśród gladiatorów nie szukaj przyjaciół...”

Zmarszczyła brwi.

– Czemu tak mówisz? – spytała sucho. – To ładnie brzmi, ale nic nie znaczy. Teraz.

– Teraz nic – przytaknąłem. – Tylko kto wie, co będzie jutro? Nie martw się – dodałem szybko. – Powiem mu, jeśli go zobaczę.

– Co powiesz?

– Że czekasz.

Pasma obłoków nad kontynentem przesunęły się odrobinę na zachód. Zakrywały teraz brzeg oceanu.

Spojrzałem na zegarek. Tkwiliśmy tutaj przeszło dwadzieścia minut. Szczególny rekord.

Ktoś otarł się o mnie ramieniem. Odwróciłem głowę, zdziwiony. Biedny ludzik. Tak nie lubią się do nas zbliżać.

Żaden ludzik. Jakbym spojrział w lustro. Ciemnozielony kombinezon, półprzezroczysty, lśniący jak szkło. Czarno-biały emblemat na lewym ramieniu. Taki jak mój. Silnie zaznaczone kości twarzy. Oczy szeroko rozstawione, patrzące, jakby mogły widzieć przez ściany. Nawet włosy podobne do moich, krótkie, jasne, o barwie, której nigdy nie umiałem nazwać.

Poruszył nieznacznie głową. To miało znaczyć: przepraszam. Patrzył przy tym prosto przed siebie.

Jeszcze raz spojrzałem na jego emblemat. Nie miał gwiazdki. Jasne, że nie. Znałem wszystkich, którzy w ostatnich dziesięciu latach brali udział w akcjach. Można ich było zliczyć na palcach.

Ja sam nosiłem na ramieniu jedną mikroskopijną gwiazdeczkę. Nie spotkałem nikogo, kto miałby dwie. A więc może będę pierwszy. Jeśli to znowu nie jakieś manewry.

Staliśmy obok siebie, milcząc. Spotkaliśmy się, oczywiście, kilka razy na poligonach. Ale w klubie, gdzie mieszkałem, nie widziałem go nigdy. Nie pamiętałem nawet jego nazwiska.

Wokół nas zrobiło się pusto. Jeden to było już dość. Żeby spotkać dwóch za jednym zamachem, trzeba mieć prawdziwego pecha. Tak pewnie myśleli.

Spojrzał na zegarek, jak ja przed chwilą. W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Oparty niedbale o ramę iluminatora, sprawiał wrażenie dwumetrowego posągu. Może się niecierpliwiał. Kto wie. Poznawał to pewnie tak samo jak ja. Kiedy się zdenerwowałem, marzyły mi koniuszki palców. Tylko tyle.

Jeden z inforpolu. Cyborg – jak mówiliśmy drwiąco pomiędzy sobą. Facet z Korpusu – jak powiadano półoficjalnie. Cichy jak antymateria. Niemal równie dobry jako broń.

Trwało jeszcze dłuższą chwilę, zanim przyleciał statek. Muzealny gruchot. Iluminatory widziały szczotki ostatni raz z dziesięć lat temu. Klimatyzacja rozregulowana. Butler kazał mi natychmiast przybrać pozycję półleżącą i głęboko oddychać.

Usiadł koło mnie. Wyciągnął nogi tak, że zrównały się z moimi. Te same miękkie, porowate buty. Rozmiar stopy, na oko, także identyczny. Mogłem w każdej chwili dostać jego serce, tak jak jemu dałoby się bez żadnych badań przeszczepić moją wątrobę. Korpus był pierwszą zamkniętą grupą społeczną, w której osiągnięto doskonałą zgodność immunologiczną.

Stewardesa przyniosła kawę. Pociągnąłem łyk. Przy trzecim mój głośniczek zabuczał ostrzegawczo. Kawę dawali całkiem, całkiem. Odstawiłem filiżankę. Po kilku sekundach on zrobił to samo. Widać zabrał się do kawy o te kilka sekund później. Albo wolniej pił.

Uster był taki sam. Wszyscy byliśmy tacy sami. Trudno się dziwić, że ludzie nie skakali z radości na nasz widok. Nam samym robiło się czasem nieswojo.

Uster. Jedyne na dobrą sprawę, z którym żyłem się bliżej. Idąc na spotkanie z Itią, zabierałem go najczęściej ze sobą. Dlatego potem... Ale nie mogłem mieć pretensji. Dwa lata spędziłem na poligonie. Przed wyjazdem powiedziałem jej, żeby nie zaprzętała sobie mną głowy. Że taki jak ja nie będzie nigdy odpowiednim towarzyszem dla dziewczyny. Naprawdę tak myślałem. Wtedy miałem głowę nabitą czekającymi mnie zadaniami, stałą gotowością, posłannictwem i takimi tam rzeczami. Kiedy pod koniec pobytu na poligonie przekonałem się, że byłem osłem, niczego to już nie mogło zmienić. Zrozumiałem, że kocham ją naprawdę. Ale byli już razem.

Pomyślałem, że mogę się z nim spotkać za kilka godzin, uśmiechnąłem się do siebie i zapadłem w drzemkę. Ten koło mnie spał już od dobrej chwili. Oddychał bezgłośnie. Nie chorowaliśmy nigdy. Była to jedna z podstawowych różnic między nami i resztą ludzi. Do nich, kiedy im coś było, przychodził lekarz. Do nas technik. Trzeba czegoś więcej?

Lądowanie poszło nadspodziewanie gładko. Szybciej niż kiedy byłem tu ostatnim razem. Musieli wreszcie wymienić automaty przechwytyjące. Najwyższy czas. Dworzec Lamberta należał do najstarszych na Lunie. Obsługiwał dwie pierwsze bazy ze stałą załogą. Teraz skupiał cały ruch osobowy związany z wszystkimi zakarpackimi fabrykami paliwowymi, rozciągniętymi na obszarze Oceanu Procellaryjskiego.

Sam dworzec też się zmienił. Mało brakowało, a byłbym wlaź na towarowy eskalator. Facet, który przyleciał ze mną, przytrzymał mnie za ramię.

– Dziękuję – mruknąłem. – Nazywam się Thaal. Mów po prostu Al.

Skinął nieznacznie głową.

– Riva – powiedział. – Budorus – dorzucił po chwili.

W halu czekał na nas łysy chudzielec z obsługi dworca. Zmierzył nas bezgranicznie znudzonym spojrzeniem i ruszył w stronę jednego z korytarzy. Poszliśmy za nim.

W rozdzielni na nasz widok podniósł się z obrotowego fotela facet z Korpusu. Tego w ogóle nigdy dotąd nie widziałem. Zapewne należał do stałej załogi bazy.

– Możemy jechać – to było wszystko, co powiedział na powitanie.

Poprowadził nas bocznym korytarzem do szybu. Wyjechaliśmy na pole startowe wąskim eskalatorem, podskakującym jak zepsuty budzik. W wieży, przed wyjściem, automaty sprawdziły nasze skafandry. Jakimś cudem wcisnęliśmy się do pomarańczowego żyrolotu, przypominającego zabytkowe łóżko z baldachimem.

Lot do krateru Budorusa trwał krótko. Za krótko, żeby mi się zdążył znudzić krajobraz za iluminatorem.

Czerń i biel. Lekko rozmazane. Czerń wpadająca w błękit, biel złamana jaśniutkim złotem. Kontrasty, jak zaznaczone tuszem. I góry. Prawdziwe. Takie jak na obrazku. Bez kolejek, wyciągów, zjazdów, bufetów, pseudokoleb i ścieżek spacerowych dla starsuszków. No i tłumu bywalców obwieszonych pamiątkami. Uczciwe góry. Takie, jakimi jeszcze pięćdziesiąt lat temu były, od biedy, Himalaje.

Sleep, jak brzmiała popularna nazwa tego typu żyrolotu, wznosił się coraz wyżej. Lecieliśmy na północny zachód. W pulpicie pilota cały czas pulsowały światełka. Namiary z Platona. Przelecieliśmy nad nim piętnaście minut po starcie. Zaraz potem zmieniliśmy kurs na zachodni i weszliśmy za północną ścianę Alp. Mieliśmy już kilometr pod sobą, ale trzeba było nieźle zadzierać głowy, żeby dotrzeć wzrokiem do szczytów zawisłych nad nami.

Ładowaliśmy dziesięć minut później, w zewnętrznym pierścieniu bazy. Jak na poligonie, po ogłoszeniu pogotowia. Niczego nie lubili tak bardzo, jak procedury wartowniczej, jednak tym razem wpuścili nas do głównego szybu bez większych ceregieli. Korytarze poziomego alarmowego wyglądały jak wymarłe. Do chodnika szło się pieszko ładne parę metrów. Posadzka była miękka, a pomimo to nasze kroki budziły metaliczne echo. Równe kroki, odmierzone, spokojne. Kroki facetów, którzy wiedzą, czego chcą.

Weszliśmy prosto do dyspozytorni. Zanim jeszcze drzwi zwinęły się za nami w podwójną trąbkę, zobaczyłem Hissa. Był także Jeus, komendant bazy. I jeszcze czterech z Korpusu. Stali nad czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak stary szkolny model układu planetarnego. Ale to nie był nasz układ. W trzeciej planecie pulsował czerwony ognek.

Hiss obrzucił nas przelotnym spojrzeniem i gestem kazał nam podejść bliżej. Regulaminowa jowialność, z jaką zebrał mnie wczoraj w centrali, zniknęła bez śladu. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Jakby się nagle postarzał o dobre dziesięć lat. Miał na sobie cywilny kombinezon, w jakim mógłby się wybrać, powiedzmy, na inspekcję stacji na Ganimedzie. Ale nigdzie się nie wybierał. On nie. Wiedziałem, co powie, zanim jeszcze otworzył usta. Staliśmy przed modelem układu Alfy.

2. Budorus

Czy ludzie pamiętali? Owszem. Tak jak się pamięta o wielu rzeczach, które kiedyś wydawały się ważne, nawet bardzo ważne, ale o których wiadomo, że nigdy już nie sprawią kłopotów. Najwyżej historykom. Sześć lat to więcej niż mogłoby się wydawać. Nawet jeśli chodzi o kogoś, kto zginął kilka świetlnych lat od domu.

Kontaktów z istotami technologicznymi w Galaktyce szukaliśmy, jeśli się nie mylę, już w dziewiętnastym wieku. W dwudziestym zaczęto wysyłać w kosmos specjalnie opracowane sygnały matematyczne. Przy użyciu prymitywnych nadajników. Co zresztą nie miało nic do rzeczy. Jeśli się sonduje oceany, to prędzej czy później trafi się na rybę. Rachunek prawdopodobieństwa.

Sto lat temu radioteleskopy na Lunie odebrały pierwsze sygnały, co do których nikt nie mógł mieć wątpliwości. Wszystkie komputery potwierdzały, że nie pochodzą ze źródeł

naturalnych. Ale nie była to odpowiedź. Nie były to nawet sygnały w potocznym rozumieniu tego słowa. Żadnego symbolu, pasma znaczeniowego, żadnej matematyki.

Dwudziestowieczni astrofizycy potraktowaliby je jako nowy typ promieniowania gwiazdowego. Ale i najczulsze współczesne analizatory teraz, po kilkudziesięciu latach badań, wyrzucały na tablice wyników jedno zero po drugim.

Co zrobił człowiek? To, co zawsze w swojej historii. Najpierw powiedział, że trzeba tam polecieć. Potem pośmiał się trochę i stwierdził, że jak świat światem nikt nie wymyślił czegoś równie głupiego. Następnie doszedł do wniosku, że rzecz jest ciekawa, nawet pasjonująca, szkoda tylko, że całkowicie nierealna. Po czym, oczywiście, poleciał.

Dwudziestego czwartego lipca dwa tysiące sto dwudziestego dziewiątego roku z bazy w Archimedesie wystartowało pięcioro ludzi. Mniej więcej dziesięć lat wcześniej udało się grupie Amalsona zastosować strumieniowe świece tachjonowe do podróży kosmicznych. Dzięki temu „Monitor” mógł liczyć na stałą łączność z bazą. Największe opóźnienie, w ostatniej fazie lotu, nie miało przekroczyć kilku dni. Statek osiągnął szybkość podróży czwartego stopnia. Lot powinien był trwać niespełna sześć lat.

I nie trwał dłużej. W trzydziestym piątym roku „Monitor” uruchomił silniki hamujące nad drugim satelitą trzeciej planety Alfę, gdzie zgodnie z programem miała powstać pierwsza baza eksploracyjna. To była ostatnia wiadomość, jaka dotarła do bazy. Czekano spokojnie kilka dni. Potem opublikowano komunikat. Okrąży rok obowiązywała cisza radiowa w pasmach, w jakich możliwe było nawiązanie łączności. I to właściwie wszystko. Na całej kuli ziemskiej zorganizowano wieczornice żałobne, w czasie których ten i ów uczony miał okazję napomknąć, że od początku sprzeciwiał się wyprawie. W drugą rocznicę utraty łączności z „Monitorem” rozstrzygnięto konkurs na pomnik. W trzecią poproszono Hissa, żeby dokonał uroczystego odsłonięcia. Pomnik stanął na grani Everestu. Kamienna, stylizowana dłoń, wkomponowana w skały, wyciągająca ku gwiazdom pięć smukłych palców, w tragicznym wołaniu o przyjaźń. Pod każdym z palców wypalono w bazalcie nazwisko. Siąść i płakać. Nie pozostało zresztą nic innego. Bo o następnych wyprawach nikt jakoś nie wspominał.

Wysłuchaliśmy na stojąco wszystkiego, co Hiss miał do powiedzenia na temat „Monitora” i jego załogi. Mówił przyciszonym głosem, jakby do siebie, wpatrując się w czerwone światełko, pulsujące bez przerwy w plastikowym jądrze Trzeciej. Chwilami zdawało się, że zapomniał, gdzie jest i kto go słucha. Nie powiedział nic ponad to, o czym wiedziało każde dziecko. Do pewnego momentu.

Przeszedł właśnie do ostatniego radiogramu nadanego z pokładu „Monitora”.

– Jak wicie, zapis urywa się dwudziestego lipca trzydziestego piątego roku. Teksty radiogramów dostaniecie po odprawie – wskazał ręką kąt sali, gdzie na podłużnym stoliku leżał stos podręcznych analizatorów. – Proszę, żebyście zapamiętali każde słowo, jakie tam padło. Od dwunastego lipca. Trzeciego sierpnia – ciągnął tym samym monotonnym głosem – a więc trzy tygodnie po zerwaniu łączności, wystartowała z rejonu naszej bazy ekspedycja ratunkowa...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI